

Wspomnienie: Teresa Bancewicz (1934 - 2020)

Ja jestem w podróży

Teresa Bancewicz. Krucha i silna. Chucherko z siwymi włosami i żelazna kobieta, która z wiosną czuła zew podróży, na plecy zakładała 30-kilogramowy plecak i autostopem wyruszała w świat. Za nic mając ograniczenia: swój wiek, brak znajomości języka angielskiego - współczesnego paszportu i minimalne zasoby finansowe. Nadrabiała determinacją, przebojowością, chęcią przeżycia przygody i radykalnym optymizmem - czasem niewiele mającym wspólnego z realną oceną sytuacji. Kochała poznawać i rozmawiać z ludźmi. Czy to na pustyni, w zatrzymanym na stopie pojeździe, podczas wernisażu, czy w swoim domu w Przejęsławiu. Aż trudno uwierzyć, że o Teresie Bancewicz pisać należałoby w czasie przeszłym. I choć sama wielokroć powtarzała, że na śmierć jest przygotowana jak do każdej podróży, zdawało mi się, że jest niezniszczalna.

Teresę Olszewską - Bancewicz poznałam, kiedy miała 70 lat z hakiem i apetyt na kolejną podróż autostopem. Po wywiadzie z seniorką - autostopowiczką, który ukazał się w Nowinach Jeleniogórskich, do redakcji zgłosili się pomocni młodzi ludzie. Dostała od nich nowy plecak na nową podróż. Od tamtej pory śledziliśmy w redakcji jej kolejne wyprawy. Na łamach Nowin Jeleniogórskich niejednokrotnie Teresa opowiadała o swoich planach, a później dzieliła się wrażeniami z podróży. I życia pełnego pasji, trudów i nieoczekiwanych zwrotów.

Nie bała się odsłaniać jasnych i ciemnych stron swojego życia. Z otwartością i niespotykaną szczerością opowiadała o chwilach

zachwytu łapanych w różnych szerokościach geograficznych podczas kilkudziesięciu podróży na różnych kontynentach. I o depresji, z którą toczyła walkę po utracie pracy w czasach przeobrażeń ustrojowo-gospodarczych w Polsce. Opowiadała o poruszających spotkaniach z przyjaznymi ludźmi i o chwilach grozy, które przeżyła. Jak wtedy, gdy napadnięto ją nocą w Afryce. Potrafiła otwarcie mówić o stracie i przegranej - pędzie ku śmierci najmłodszego syna. I o szalonej bardzo późnej miłości - związku z młodszym od niej o 22 lata Grekiem.

W swoją pierwszą podróż - do Skandynawii - Teresa wyruszyła w wieku 63 lat. To oficjalna wersja początków autostopowej pasji, o której głośno było później w mediach ogólnopolskich. Ale w rozmowie ze mną na łamach Nowin Teresa mówiła o podróży, która zapisała się w pamięci komórkowej jej ciała. A później uruchamiała kolejne sekwencje i zwroty w życiu podróżniczki. Zresztą, niech raz jeszcze na łamach Nowin opowie o tym sama autorka niebanalnego życia:

„Pierwszy raz to podróżowałam jeszcze w brzuchu matki. Rodzice przed wojną uciekali przed biedą. Na piechotę. W końcu tato w pokoju hotelowym popełnił samobójstwo. Nie dostał obiecanej mu pracy. Mama została wtedy w Wilnie ze mną i nowonarodzonym dzieckiem, któremu nie dawali szans życia. Panie z Ostrej Bramy zaopiekowały się dzieckiem, a mama wzięła mnie, półtoraroczną za rękę i znów wędrowała do Sosnowca za chlebem. A potem, w 1936 roku wracała ze mną do Wilna, żeby sprawdzić, czy siostra przeżyła. Nie doszła. Zachorowała. Musiała zawrócić. A po wojnie już nigdy nie odnalazłyśmy dziecka w przytułku”.

Takie historie przeżyte w dzieciństwie zostają w ciele i duszy. Wędrowanie było jej pisane. W PRL-u, kiedy miała prace i pieniądze, podróżowała z rodziną dla przyjemności. Po Polsce, troszeczkę po Europie. Autostopowiczką została w trudnym okresie życia:

„To była podróż z depresji. Po transformacji w Polsce wielu takich plastyków jak ja straciło pracę. Koleżanka popełniła samobójstwo. Próbowałam prowadzić sklepik. Nie wyszło. Przeprowadziliśmy się z mężem i najmłodszym synem do Przejęsławia, w sam środek bolesławieckich lasów. Bez pracy, pieniędzy, z wrzodami żołądka, chorobą serca, pękającymi stopami, rękami, łysieniem i depresją, chciałam umrzeć. Nie mieliśmy za co żyć. Zorientowałam się, że obrazki - kolaże, które robiłam, łatwiej będzie mi sprzedać za granicą. Pożyczyłam pieniądze na prom i popłynęłam do Finlandii. Z kilogramową torbą leków na moje choroby. Tam żywiłam się płatkami i wodą. Wróciłam uspokojona i zdrowsza. W następnym roku kupiłam namiot.”

Przez kolejne lata podróżowała z pasji poznawania ludzi, tradycji, systemów politycznych. Na co dzień w Przejęsławiu żyła bardzo skromnie. W podróż zawsze zabierała swoje prace: widokówki ręcznie malowane z suszonymi kwiatami zbieranymi w Przejęsławiu.

Wiele razy od znajomych, czy rodziny słyszała, że to już czas na zatrzymanie. Rezygnację z podróży. Kiedyś opowiedziała mi o takim zdarzeniu. Jechała w grudniu autostopem do Kalisza na imieniny córki. Zmierzchało, mróz, szła autostradą już jakieś 20 kilometrów. Usłyszała samochód: wyciągnęła rękę w skórzanej pięciopalcowej rękawiczce. Usłyszała świst i trzask. Kierowca zatrzymał się. Przestraszył się, że zahaczył lusterkiem i

złamał jej rękę. Złamał jej tylko... paznokiec. Jak dotarła do rodziny, wnuk stwierdził, że drugiej takiej babci nie ma na świecie. I znów mogła powtarzać:

„ Za stara na podróże? Jeszcze ciągle ćwiczę: w domu wieszam się na schodach, żeby wzmocnić ramiona pod plecak. A poza tym, jestem przygotowana na wszystko. Zbliża się mój kres. Mam umrzeć w łóżku, na podwórku, w wypadku, szpitalu... to chcę poznać jeszcze ten jeden klimat, jeszcze ten jeden system, tę jedną tradycję. Można umrzeć w podróży”.

W ostatnich latach podróżowała dalej i bezpieczniej. Latała samolotami, gubiła się na lotniskach, dogadywała na migi. Ale z podróży nie rezygnowała. Tych dalekich i tych bliskich. Choćby miała to być tylko droga pomiędzy Przejęsławiem a Bolesławcem, gdzie w domu kultury prowadziła dla seniorów zajęcia plastyczne z tkaniny.

Najszczęśliwsza była w chwilach, kiedy sąsiadka podwoziła ją na stację benzynową i nie wiedziała, co będzie dalej. Zawsze w drodze. Z wiatrem i pod wiatr. Bo podróże w późnym wieku, jak lubiła mawiać, dały jej więcej wiedzy psychologicznej niż wszelkie ukończone szkoły.

„Uczciwie żyć, realizować na miarę swoich możliwości - bogactwa, wieku - to, co się czuje, nie krzywdząc przy tym nikogo” - tak chciała żyć. Tak żyła. Odeszła w szpitalu. Nie w podróży. Ale wierzę, że rozbiła swój namiocik w krainie, gdzie nikt jej nie zatrzymuje. Gdzie bagaż życia już nie ciąży na plecach. Gdzie może wędrować, powtarzając za Agnieszką Osiecką słowa, które tak bardzo do niej pasują:

„Ja nie chcę spać, ja nie chcę umierać,
Chcę tylko wędrować po pastwiskach nieba,

Białozielone obłoki zbierać,
Nie chcę nic więcej, nie chcę nic mniej.
Są jeszcze brzegi na których nie byłam,
Są jeszcze śniegi, których nie wyśniłam.
Są pocałunki na które czekam,
Listy z daleka, drogi pod wiatr.
Ja nie chcę spać, ja nie chcę umierać,
Chcę tylko wędrować po pastwiskach nieba,
Białozielone obłoki zbierać,
niczego więcej mi nie potrzeba.
A chociaż nie ma tam brzegu mojego,
Śniegów i nieba, nieba zielonego,
Noc mnie nie nuży, dzień się nie dłuży,
Być wciąż w podróży, w drodze pod wiatr."

Małgorzata Potoczak-Pełczyńska opublikowano w „Nowiny
Jeleniogórskie”